

wyrażonych w naszych rozprawach habilitacyjnych<sup>1</sup>. Osób niedziękujących Waławowi publicznie było znacznie więcej.

Wspomniałem o tych anegdotycznych sytuacjach po to, by pokazać, że pasja zdobywania wiedzy, umieszczania jej w szerszym kontekście i krytycznej jej oceny nie musi być powiązana z formalnym ukończeniem studiów i z uzyskaniem różnej rangi stopni naukowych. Przypadek kolei życia Waława, przedstawionych tu w perspektywie jego filozoficznych i naukowych pasji, jest tego bardzo dobrą ilustracją.

STANISŁAW MAJDAŃSKI

#### ROZMÓLOWANY W MĄDROŚCI I PRAWDZIE WSPÓŁCZESNY SAMARYTANIN

Mówiąc tak, przywołujemy zarówno niezwykłą postać naszego Przyjaciela, promieniującego swą osobą i współtworzącego pewne środowisko (a raczej dwa środowiska) wokół siebie, jak i wchodzące tu w grę kategorie mądrości i prawdy, którym hołdował, które rozwijał, o których w tytule mowa.

Dotykając obu tych spraw, spotykamy się z pewnym przeciwstawieniem, którego bieguny, jak się zdaje, dadzą się harmonizować. Wyrazem tego była postawa życiowa i poznawcza Waława Muzyczki, którego tu wspominamy, a który pozostaje – i niech tak nadal będzie – w naszej wdzięcznej pamięci. Chodzi nam o idącą przez wieki sentencję: *Amicus Plato, sed magis amica veritas*. Wiemy, że pochodzi ona z *Etyki Nikomachejskiej* Arystotelesa. Wiemy też, jaka jest jej szlachetnie pojęta intencja i jaka była konkretna sytuacja jej zaistnienia (polemika Arystotelesa, ucznia Platona, ze swym mistrzem-nauczycielem, w imię prawdy właśnie).

---

<sup>1</sup> M. WNUK, *Istota procesów życiowych w świetle koncepcji elektromagnetycznej natury życia. Bioelektromagnetyczny model katalizy enzymatycznej wobec problematyki biosystemogenezy*, Lublin: RW KUL 1996, s. 15; J. ZON, *Bioplazma i plazma fizyczna w układach żywych. Studium przyrodnicze i filozoficzne*, Lublin: RW KUL 2000, s. 24.

Dr STANISŁAW MAJDAŃSKI – emerytowany wykładowca Instytutu Filozofii KUL (Katedra Metodologii Nauk), członek korespondent Wydziału Filozoficznego TN KUL oraz członek honorowy TN KUL.

Nie wchodzimy w szczegóły, ale rodzi się tu – i w podobnych sytuacjach – przekorne pytanie, czy rzeczywiście te kresy jako *opposita* zestawiać: osobę i prawdę, jak i odnośne przyjaźnie. Tadeusz Styczeń, gdyby się temu bliżej przyjrzał, zawołałby tu chyba retorycznie: *cui bono?* Powiedzmy inaczej jeszcze: czy takie przeciwstawienie jest – właśnie – prawdziwe, i czy prawdzie autentycznej odpowiada i przyjaźni służy? Dlaczego więc myślimy tu po linii *disiunctim*, a nie *iunctim*? Bo przecież można mówić tu, to jest wskazane, o jakiejś interkategorialnej zgodzie i odnośnych kresów koimplikacji (że posłużymy się terminem zaczerpniętym od J.N. Keynesa z jego analizy zdań kategorycznych asertorycznych). Wydaje się, że nie byłby przeciwny temu nasz bohater, Wacław Muzyczka.

Taka byłaby wstępna refleksja dotycząca Wacława. Zainicjujmy w ten sposób nasze o nim wspomnienie, a raczej myśli, które nawiązują do osoby i idei żywionych przez kogoś, kogo nazwać by można filozofem co się zowie. Był „lubelskim Sokratesem”, którego postać związana była z obu środowiskami, w których się obracał i które współtworzył. Są to: Uniwersytet Medyczny w Lublinie (klinika przy ulicy Jaczewskiego) i Najświętszego Serca Jezusowego Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II – Wydział Filozofii, w szczególności filozofia przyrody i przyrodoznawstwa (jako odrębna agenda dydaktyczno-badawcza, ostatnio zlikwidowana, choć przydałoby się raczej jakieś jej zawieszenie i odnowa w sprzyjających warunkach).

Szczególnie ten ostatni aspekt życia i działalności Wacława nas tu interesuje. Wszelako na tle tego pierwszego, zwłaszcza że obchodzimy w tym roku jubileusz stulecia Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, czego Wacław już nie doczekał. A szkoda, bo do tego Uniwersytetu i jego tradycji przyznawał się, był z nim związany i był z tego dumny. Jego idee podzielał, im służył, na swój sposób je kontynuował, współtworzył.

Nawiążmy nieco do owej pierwszej składowej z naszego nagłówka, dotyczącej sylwetki osobowej Wacława Muzyczki, który pochodził z Lubelszczyzny i dobrze o niej świadczył. Zwróćmy mianowicie uwagę na ów „samarytanizm”, który nazwaliśmy „współczesnym”, a który był czymś doprawdy wyjątkowym, nadzwyczajnym. Wacław, mało komu w klinice nieznany, był to zaiste dobry duch w Uniwersytecie Medycznym – duch, który obdarzał swą dobrocią i wiedzą wszystkich, którzy się z nim zetknęli. Kim był Wacław, to dopiero teraz – gdy go zabrakło – w pełniejszej mierze sobie uświadamiamy. Jego uczynności, bycia „na każde wezwanie” (jakby to powiedział ks. Stanisław Tworowski) doznało wielu, także piszący te słowa.

Był on – w genezie i istocie – przedstawicielem owego „franciszkańskiego samarytanizmu”, tego właśnie typu, w wydaniu wyjątkowym, wybitnym. To teraz dobrze dostrzegamy, docierając bliżej do biografii Wacława. O pewnych jej szczegółach wiedzieliśmy, lecz do zasadniczej o tym rozmowy chyba między nami nie doszło. Tak więc w młodości „terminował” u franciszkanów. Uczył się tam i studiował trochę w wyższym seminarium, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, nie wchodzimy w szczegóły. Była wtedy świeża pamięć o Ojcu Maksymilianie, przygotowania do jego beatyfikacji, także piękna tradycja Niepokalanowa.

To była szczególna atmosfera, którą oddychał Wacław. O życiu i dziele Ojca Maksymiliana pisał z podziwem I.M. Bocheński (który raczej nie oszczędzał nikogo – wyjątkiem był o. Jacek Woroniecki, drugi rektor KUL, po założycielu ks. Idzim Radziszewskim). Wiem też coś o tym, o tej franciszkańskiej atmosferze. Bywałem w Niepokalanowie po wojnie, po powrocie z zesłania, z moim ojcem Walentym i bratem; ojciec wydawał wtedy w Niepokalanowie swoje książki z zakresu problematyki rodzinno-demograficznej, kontynuując swą przedwojenną współpracę z Ojcem Maksymilianem w „Rycerzu Niepokalanej”. Ojciec mój – to bardzo osobiste wspomnienie, ale taka jest też refleksja o Wacławie – napisał na zamówienie Niepokalanowa przed beatyfikacją Ojca Maksymiliana książkę o nim („Franciszkanizm XX wieku”, inny tytuł, alternatywny: „Cywilizacja franciszkańska”), drukiem ukazał się tylko mały fragment. Przez to franciszkańskie odniesienie Wacław stał się mi jeszcze bardziej bliski.

Ów „samarytanizm franciszkański” Wacława odzywał się, jaśniał coraz bardziej w jego różnorodnej działalności związanej z medycyną, służebnej, niestroniącej od żadnych bliźnim posług – ostatnio był szefem sanitarnej agendy w ramach kliniki – wynikłych z postawy zawsze ofiarnej, nie liczącej się z własnym czasem i z siłami. Jego bezinteresowność, w tym czy innym względzie, to był jakiś „nieformalny wolontariat”. W jego małym sekretariacie-gabinecie w „piwnicznej izbie” spotykaliśmy się nieraz, nie tylko w sprawach medycznych, dyskutując – jeśli to tylko było możliwe – na tematy (około)filozoficzne. Czasami wychodziliśmy na kawę do pobliskiego barku, tam było więcej miejsca i powietrza (czasem były spotkania w jego domu, głównie z okazji imienin). Oprócz filozofii i medycyny były też inne tematy, bliższe życiu codziennemu, także polityczne. W tych ostatnich wykazywał się Wacław doskonałą orientacją (daleki był tu od złudzeń i wszelkiej naiwności) i gorącym patriotyzmem.

Odznaczał się doskonałą erudycją i biegłością w medycznych i filozoficznych sprawach (które potrafił umiejętnie rozdzielać, ale i łączyć ze sobą), choć nie był Wacław ani lekarzem, ani „profesjonalnym” filozofem (jeśli tak w ogóle można mówić). W obu jednak wymienionych tu dziedzinach potrafił zaskakiwać swoją wiedzą i niejednokrotnie wzbudzać podziw. Zawsze działał tu i tam *non profit*, o ile do tego nie dopłacał.

Przypominał trochę Władysława Biegańskiego, który był – jak wiadomo – i znakomitym lekarzem, i autorem wielu dzieł, jako genialny samouk zdobywający sobie autorytet wśród znawców, w tym z zakresu logiki. Lekarze szanowali Wacława nie tylko jako filozofa, nierzadko odbywali z nim różne dyskusje. Był on w pewnej mierze wśród specjalistów kimś do rady i kimś w rodzaju „specjalisty ogólnego” (była kiedyś „specjalizacja ogólna”, paradoksalna poniekąd, lekarza ogólnego bliskiego internisty – podobna skądinąd do idei postulowanej przez Aleksa Carrela, laureata Nobla, autora głośnej książki *Człowiek istota nieznaną*).

Wacław był mistrzem naukowej czy filozoficznej dyskusji, tak dalece – jestem tego świadkiem – że czasem pytano, jak nazywa się ten profesor, który tak interesująco mówi, wykazując się znakomitą orientacją ogólną, jak i znajomością konkretów w tej czy innej sprawie. Uczestniczył z kolegami, pracownikami dydaktyczno-naukowymi, w zajęciach z filozofii przyrody, w tym abpa Józefa Życińskiego, na których był traktowany jako wyjątkowy słuchacz, zawsze mile widziany. Bywało, że arcybiskup zwracał się do niego per profesor czy doktor, świadom, że ma przed sobą kogoś, kto ma coś do powiedzenia i z kim warto wejść w dialog, bo ma swoje wsparte stosowną argumentacją zdanie, z którego niełatwo rezygnuje. Trzeba wyjaśnić, że z różnych powodów – jakby trafów nieszczęśliwych czy zbiegów okoliczności – Wacław nie kontynuował ani franciszkańskiego seminarium duchownego, ani KUL-owskiej filozofii (czyja w tym wina – pozostawmy bez odpowiedzi).

Wracając do medycyny, Wacław wykazywał tu wielką znajomość funkcjonowania substruktur i całości ludzkiego organizmu. Wiedział, jak one składają się na całość i są współzależne, tworząc układy względnie niezależne, a związane. Dziś wiemy, jak szkodliwa jest w tym względzie zbyt daleko posunięta specjalizacja, szermowanie szkodliwym często dla chorego mitem „specjalisty”, i jak brak jest kogoś koordynującego. Właśnie owego „specjalisty ogólnego”. Wacław dobrze znał wchodzące tu w grę pojęcia, takich układów względnie izolowanych – z cybernetyki (wymieńmy tu Mariana Mazura) czy z filozofii (fenomenologa Romana Ingardena), o tym też dyskutowaliśmy.

W swej samarytańskiej i franciszkańskiej postudze był nasz przyjaciel ofiarny, zda się niezmordowany (często miałem skrupuły, że go wykorzystuję), ale z czasem dawały o sobie znać objawy zmęczenia. Po przebytej chorobie i operacji był bardzo mizerny, choć rwał się ciągle do pracy i działania. Zdawało się, że o sobie nie pamięta, siebie zaniedbuje. Być może wiedzieli więcej o jego stanie zdrowia zaniepokojeni najbliżsi z rodziny. Narzuca się tu znane powiedzenie: „*Medice, cura te ipsum*”, choć lekarzem nie był, był jednak jakże blisko chorych jako samarytanin i znający się na wielu kontekstach medycznych filozof przyrody i przyrodoznawstwa. Zdawał sobie sprawę ze swego stanu, choć chyba nie do końca. Może żywił pewną nadzieję, a może ukrywał to przed bliskimi lub nawet przed sobą?

W ciężkim stanie, tuż po uciążliwych badaniach, odszedł od nas, jak się nam zdawało, mimo wszystko, zbyt szybko, nagle. Tak przyzwyczajeni byliśmy i wciąż jesteśmy do Jego obecności. Widzimy Jego charakterystyczną sylwetkę przemykającą skromnie po klinicznych kularach, Jego miłą, zawsze uśmiechniętą twarz, niebieskie oczy. Wydaje się, że jest ciągle wśród nas, i jest właśnie „na każde wezwanie”. Tuż przed Jego zgonem odwiedziliśmy Go – prof. J. Zon i piszący te słowa. Był bardzo cierpiący, ale starał się jakoś przed nami się trzymać. Poruszaliśmy nawet pewne problemy filozoficzne, w tym o Jego stanie.

Pożegnało świętej pamięci Wacława osób wiele, w kościele i na cmentarzu położonym na wzgórzu, w pobliżu klasztoru sióstr karmelitanek na terenie parafii w Ciecierzynie, w której wybudował dom dla swojej rodziny. Temu niezwykle pracowitemu człowiekowi i na to sił starczyło (na stałe mieszkał na osiedlu w pobliżu szpitala). Na pogrzebie był cały przekrój społeczny – i tutaj był środowiskotwórczy. Żegnała go rodzina, przyjaciele, koledzy, współpracownicy, osoby, z którymi współdziałał. Byli też ci, którymi się tak czy inaczej w szpitalu zajmował, którym w kłopotach zdrowotnych pomagał, a nieraz ratował. Słowem: byli wszyscy mu bliscy i jakoś wdzięczni. Były władze Uniwersytetu Medycznego i koledzy z Wydziału Filozofii w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II. Niedługo czas później odbyliśmy, z udziałem rodziny, spotkanie wspomnieniowe w Towarzystwie Naukowym KUL, z przemówieniami i krótką dyskusją. Niniejszy tekst można poniekąd uznać za głos piszącego te słowa, zmodyfikowane i w pewnych aspektach poszerzone sprawozdanie.

Spotkania z Wacławem, te (około)filozoficzne czy z zakresu nauk szczegółowych, jak i na tematy „codziennie-życiowe”, były zawsze bardzo interesujące i owocne. Dla nas, interlokutorów nader pożyteczne, inspirujące,

a on twierdził grzecznie, że to tylko on z nich korzysta. Padaly wtedy różne sformułowania i pomysły, nie zawsze odnotowane, częściej nie, ale pozostaną one na zawsze jakoś w nas i w naszym środowisku, niestety zapewne raczej anonimowo. Dodajmy, że były to dociekania tak dalece wspólne, pełne myśli zbieżnych, że nie wiedzieć czasem kto był ich głównym autorem. Wiadomo, że pisał dłuższy tekst, książkę, jakby podsumowanie własnych przemyśleń. Co się z tym stało?

Wacław Muzyczka był w swych rozmowach przyjacielskich, jak i wystąpieniach publicznych – zwłaszcza ostatnio – nad podziw wyważony, dojrzały. Kultura jego wystąpień i dyskusji była zaiste wyjątkowa, wzorowa. Jakby był dziedzicem dojrzałej, wytrawnej scholastyki lub szkoły lwowsko-warszawskiej. Było coś z tego na pewno, obok własnego talentu, bo Wacław to był w sporej mierze samouk. Wszelako wiele zawdzięczał temu, że w młodości znalazł się u franciszkanów i miał też KUL-owskie wzory, zdobyte w czasie rozpoczętych studiów. Należał nieoficjalnie do naszego uniwersyteckiego filozoficznego kręgu, środowiska, które współtworzył – co trzeba podkreślić w roku jubileuszowym, tak odrodzenia Polski, jak i założenia Uniwersytetu. Nawiązując do znanej polskiej i europejskiej, w szczególności lowańskiej, tradycji uniwersyteckiej, Katolicki Uniwersytet w Lublinie utworzono w 1918 roku z Akademii Duchownej w Piotrogradzie, zamkniętej tam w wyniku bolszewickiej rewolucji. Historia naszego Uniwersytetu, jak i jego dziejowe antecedencje, były doskonale znane Wacławowi, podróżowaliśmy myślowo do nich z Wacławem w czasie naszych dyskusji. Chodziło jednak przede wszystkim o kształt-koncepcję katolickiego uniwersytetu i o rolę w nim filozofii – ważnej w sobie i jako „wiązało” nauk, w zakresie dydaktyki i badań (ks. Stanisław Kamiński powiedziałby „zwornik”) – która decyduje w sporej mierze o „uniwersyteckości uniwersytetu” i jego jakości.

Tak, to prawda, że Wacław był zawołanym dyskutantem, mistrzem tej formy uprawiania nauki i filozofowania. Ale był przede wszystkim rozmiłowany w lekturach z zakresu swoich zainteresowań filozoficznych, przyrodniczych oraz medycznych. Podkreślmy, był to umysł samodzielny, łączący ową autodydaktykę z tym, co się działo w Uniwersytecie, gdzie działał na zasadzie prywatnych i półoficjalnych powiązań, za przyzwoleniem profesorów-kolegów (chwała im za to). Brak własnego, formalnego miejsca w Uniwersytecie, w jego strukturach rekompensował obecnością na sympozjach, konferencjach, różnorodnych posiedzeniach naukowych (także Towarzystwa Naukowego KUL) i uczestnictwem w dyskusjach w stosownych

gremiach dydaktyczno-badawczych. Na jego twórczą obecność zawsze można było liczyć.

Był w tym wszystkim – akcentujemy to – jak rzadko kto wszechstronny, wyważony, poznawczo dojrzały, czasem wręcz wytrawny, wyrafinowany. Nieustanny kontakt z Uniwersytetem Katolickim i z Uniwersytetem Medycznym uchronił go od dyletantyzmu. W swej poznawczej postawie nie był ani „domorosły”, ani myślowo skostniały, jak to się zdarza u „zawodowców”. Być może sprzyjał temu ów autodydaktyzm, pewna świeżość niezepstutego rutyną umysłu. Był – jak się to dziś mówi, choć z trudem przełykam ten wyświechtany termin – otwarty na problemy i rozwiązania, daleki od jakiegoś, choćby i nobliwego „getta” lub sloganowości ujęć.

W sumie, ze względu na swoje zainteresowania i powiązania, łączył w podejściu do problemów perspektywę humanistyczną, przyrodniczą, filozoficzną i teologiczną. Od franciszkanów wyniósł znajomość języków, w tym klasycznych, z Uniwersytetu katolickiego cześć dla nauk formalnych (to pewna tradycja z wczesnego okresu funkcjonowania wydziału filozoficznego, niejako spadek po czterech wykładowcach logiki: Józefie Iwanickim, Antonim Korciku, Jerzym Kalinowskim, Stanisławie Kamińskim).

Omawiając powyższe, dotykamy pytania: jaka była ogólna orientacja poznawcza, naukowo-filozoficzna Wacława Muzyczki? Wydaje się, że miał w tym do wyboru dwie drogi, z niełatwą perspektywą ich łączenia. Droga pierwsza to myślenie w duchu tak zwanej szkoły lwowsko-warszawskiej, z jej niejakim przedłużeniem w postaci krakowskiego stylu filozofowania, z odniesieniem do nauk, „filozofowania w kontekście nauk”. Było to też podejście w jakimś sensie logizujące, śladem owej szkoły lwowsko-warszawskiej. Do tego jakoś nawiązywał, w stylu, projektowanym podejściu, programie neotomizm tak zwanego Koła Krakowskiego, z „wielką trójką”: Janem Salamuchą, Janem Franciszkiem Drewnowskim, Ignacym Marią Bocheńskim (historycznie w tej kolejności). Do tego właśnie nawiązywała po wojnie filozofia w KUL, owa w niej dominanta logizująca, która z biegiem czasu była zminorowana pod wpływem Mieczysława A. Krąpca, głównej osobowości „szkoły lubelskiej”. Dodajmy, że „szkoła krakowska” to także nawiązanie do tak zwanego tomizmu łowańskiego (między innymi Kazimierz Kłósak, choć nie tylko).

Natomiast „lubelska szkoła filozoficzna”, w swym programie i dokonaniach, zaznaczała się – za M.A. Krąpcem – dominantą pewnego „metafizykalizmu”, sprzężonego z historią filozofii („historyzm”), zaprawionego umiarkowanym „metodologizmem”, za sprawą S. Kamińskiego. To właśnie

była ta druga propozycja do wyboru dla Wacława Muzyczki (zresztą odwołująca się do tomizmu francuskiego, głównie Étienne’a Gilsona). Cenił zwłaszcza tych dwóch, współpracujących ze sobą mistrzów „szkoły lubelskiej”: M.A. Krapca i S. Kamińskiego, a zwłaszcza S. Kamińskiego; brał udział w inicjatywie opracowania, celem wydania, jego legendarnych wykładów z ogólnej metodologii nauk, które formowały umysły wielu słuchaczy nie tylko na Filozofii (niestety inicjatywa ta nie została sfinalizowana).

W swoich wypowiedziach, dyskusjach Wacław Muzyczka zmieniał czasami swe poznawcze pozycje, nie mogąc zdecydować się na stanowczy wybór, jakby przesiadał się z jednego na konia drugiego. To zależało od problemu, czasem nie wiedzieć od czego. Niekiedy zadziwiająco wcielał się w owo krakowskie podejście filozofowania w kontekście nauk (i zarazem w pamięć powojenną w KUL o roli logiki dla filozofii), zwłaszcza gdy chodzi o szczegółowe problemy filozoficzne. Kiedy indziej był istnym tomistą egzystencjalnym, raczej intuicjonistą niż kimś ufnym w logiczny dyskurs. Oddalał się wtedy między innymi od idei „stosowania logiki do zagadnień filozoficznych”, jak mawiano w szkole lwowsko-warszawskiej za Janem Łukasiewiczem.

Wydaje się, że jakby z natury rzeczy, choć było to także ukształtowane biografią Wacława, jego przygotowaniem zdobytym w toku całego życia i jakimś talentem, był Wacław Muzyczka *de facto*, a może i *de iure* interdyscyplinarystą – jeśli poprzestać na tym dziś nadużywanym terminie, w przeciwstawie do „demarkacjonizmu”, „dystynkcjonizmu”, „separatyizmu” czy między naukowego „destylacjonizmu”. Jest to postawa zbieżna także z „transdyscyplinaryzmem” czy „polidyscyplinaryzmem”. Do takiego podejścia był Muzyczka niejako predystynowany. Było mu to dane całym jego przygotowaniem, było mu – jak się teraz mówi – „dedykowane”.

Takie podejście nie było dlań li tylko czczym hasłem, jakąś pustostonną modą (na ten temat czasem dyskutowaliśmy). Zgadaliśmy się z tym, że dziś od fazy modnego kiedyś dystynkcjonizmu (jakoś scholastycznie pochodnego i znanego też na terenie humanistyki) przechodzi się do hasła „interdyscyplinaryzmu”. Sensowny jednak interdyscyplinaryzm mierzy się świadomością odpowiednio rozeznaczonych naukowych różnic, konstytuujących odnośne dyscypliny. Tymczasem zatracą się dziś, w postmodernistycznym „Mischungu”, świadomość odrębności dyscyplin (pojętych dydaktycznie czy badawczo), jakże więc w ogóle mówić o dyscyplinach przy zaszłych „deregulacjach” o znamionach metodologicznej destrukcji?



Inna sprawa – byliśmy w tym zgodni – że w wyznaczaniu dyscyplin i relacji między nimi zbyt deklaratywne aplikacyjnie byłoby tu powoływanie się po prostu na owe klasyczne trzy D-operacje: *distinctiones*, *divisiones* i *definitiones*, w szczególności *per genus proximum et differentiam specificam* (tego szczególnym przypadkiem byłaby owa postscholastyczna formuła definiowania nauk przez ich przedmiot tak zwany materialny i formalny). Dla niektórych, wydaje się, taka regulacja jest zbyt dystynktywna, byłoby w tym coś z „metodologicznego rasizmu”. Albowiem jest dziś jakaś preferencja dla poznawczych „mieszkańców”, w poświęceniu postmodernizmu. Właściwie sytuacja jest paradoksalna, bo bez świadomości tego, jakie są formy „czyste”, wyjściowe traci sens interdyscyplinarność.

Z tego wszystkiego – i nie tylko – zdawaliśmy sobie sprawę z Wacławem Muzyczką. W tym z wielu trudności w obrębie obu zasygnalizowanych i danych tu do wyboru postaw (meta)naukowych i (meta)filozoficznych (łącznie z kwestią sensu owego „meta”), także tego dotyczyły nasze dyskusje. W szczególności chodziło też o ów egzystencjalizm, realizm i intuicjonizm szkoły lubelskiej, o swoisty jej „analogizm” w metafizyce, jak też z drugiej strony o pewne „dyskusyjne pociągnięcia” owego podejścia krakowskiego – na przykład dość swobodne przechodzenie od wiary, religii (jeśli nie teologii) do nauk, i odwrotnie, bez pośrednictwa zda się niepotrzebnej teologii, a zwłaszcza, w związku z tym, filozofii (jako czegoś autonomicznego, co poczytywano tu za naiwność). Słowem: Wacław Muzyczka lubił czytać Mieczysława A. Krąpca, jak i Michała Hellera, nie mówiąc o innych.

Nie unikaliśmy w naszych dyskusjach spraw nieraz nader trudnych, jak choćby tych z filozofii istnienia, metafizycznych, jak i tych dotyczących tego, co możliwe, ontologicznych. Odnosiliśmy się też do centralnej metafizycznie problematyki pierwszych zasad i transcendentaliów. Obchodziła nas żywo problematyka kontekstualizmu, a więc holizmu, gestaltyzmu, emergentyzmu, intensjonalizmu, jakości postaciowych nabudowanych i superweniencji, w opozycji do tego, co się tyczy struktur analitycznych w swym typie. Potrafił przy tym Wacław Muzyczka być wielce sprawny zarówno w syntezach, jak i – drobiazgowych nieraz – analizach.

Był bibliofilem otoczonym masą książek, które nieustannie czytał i komentował. Bibliotekę miał ogromną, na tematy i ogólne, i bardzo specjalistyczne, świadczące o bogactwie jego zainteresowań. Można się było od niego dowiedzieć o najnowszych wydawnictwach, choć nie ignorował tradycji i klasyków. O ile wiadomo, pewne książki rodzina zostawiła sobie, ale większość przekazała na rzecz biblioteki parafialnej. Dysponował wielką

wiedzą, którą usiłował zgrać, uporządkować. Cokolwiek by o tym powiedzieć, z pewnością nie był to „wszechstronny dyletantyzm”, lecz wiedza rzetelna, pretendująca do tego.

Wróćmy jeszcze do początku, do owego samarytanizmu czy franciszkanizmu. Miał on u Wacława kontekst głęboko religijny, zakorzeniony w wierze żywej. Starał się nie opuszczać codziennej liturgii w kaplicy szpitalnej. Współpracował z obu duszpasterzami kliniki, duszpasterzami chorych, studentów, pracowników. Mogą oni świadczyć o Wacławie, także wspomagająca ich dzielnie siostra urszulanka. Aktywny społecznie, był w Lublinie członkiem Towarzystwa Inicjatyw Społecznych „Etos”, Sekcji Filozofii Przyrody i Nauk Przyrodniczych Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, także Fundacji Bioelektroniki im. Włodzimierza Sedlaka z siedzibą w Sosnowcu – że wymienimy te najważniejsze.

Na tym wypada zakończyć to wspomnienie i tę refleksję o Przyjacielu. Był ludziom jak mało kto życzliwy. Można było na nim polegać, po ludzku, po chrześcijańsku. Z zamiłowania Wacław to uczony i miłośnik mądrości. Tak się złożyło – nie do końca spełniony. Powiedzmy po staropolsku: był to Człowiek uczynny, zacny i uczciwy. Takim Go zachowamy w naszej wdzięcznej pamięci.